Lwów, 21. Listopada. Nr 139. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr.— półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XIV.

(Ciąg dalszy)

Lecz po godzinie takiego monologu, do którego co chwila mieszał się Burka, starając się wedle wszelkich sił swoich zmniejszyć winę Adeli, Edmund nagle przyskoczył do niego i zawołał z nową gwałtownością i gniewem:

— Ty łżesz stary a jednak masz racyę! bo ona nic temu nie winna!... ale wiesz ty kto winien?!... on!... on!... ten łotr, mój przyjaciel, kolega! on! ten Kamil przeklęty, któregom nawiedził jak brata, któregom tulił przy sobie, dla którego był-bym potrafił poświęcić pół majątku i życia! On, któren znalazł schronienie u ojca Adeli, i któren mu się za to tak pięknie wywdzięczył! On pierwszy ją zbałamucił, on jej poodkrywał tajemnice tej plugawej miłości, on jej powskazywał te drogi pokątne, któremi sam chodził przez całe życie i na których jam ją dzisiaj przydybał! on!... Wdowa! wdowa po tym zdrajcy! Burko! — zawołał on nareszcie, porywając go z całą gwałtownością za obydwa ramiona, — Burko! daj mi tu tego zdrajcę! na wagę złota go kupię od ciebie!.. daj mi go tu, niechaj go porwę w moje szpony, niechaj go rozedrę, niech go roztłukę na miazgę, niech się krwi jego napiję!... krwi! krwi mi potrzeba! krwi, jak zbawienia! krwi albo śmierci!

I znowu skoczył ku pistoletom, — i znowu mu je z rąk wydarł Burka, prosząc go, modląc, ażeby się uspokoił a nareszcie burcząc go i kpając jak syna.

To skutkowało cokolwiek na rozżalonym małżonku. Jakoż zastanowił się zaraz, spojrzał na swego starego sługę i zaczął prędkim krokiem chodzić po izbie. Zdawało się jakoby się namyślał w tej chwili nad całym stosunkiem Kamila do Adeli i jakoby mu się teraz dopiero odkrywały jedna po drugiej te tajemnice, których nie miał ani przeczucia; bo co moment stawał i wyrzucał zesiniałemi usty pojedyńcze frazesy, mające związek z tą sprawą.

— Wdowa! — mówił on, — o! rozumiem ja to wdowieństwo! teraz je dopiero rozumiem! wszystko rozumiem!.. łotrowstwo, zbrodnie, sodoma, piekło!... „piękną będziesz miał żonę Edmundzie!»... chciała z nim zerwać, pójść za mnie! niedowierzała! list napisała do niego!.... wszystko już teraz, o wszystko rozumiem!... Paniś mnie w pole wywiodła, zwyciężyła, przyznaję... wygrana twoja!... i bodaj-by ci szatan z piekła przypiął krzyż ognisty na piersiach za takie zwycięstwo!.. Znam te drogi, któremi odtąd chodzić będziesz; Lwów, Lwów ci się podoba! o! będziesz w nim, będziesz!.... ale bez mego i bez ojcowskiego nazwiska! cały świat cię się zaprze! Dziwożony cię przyjmą w swe koło, i żyj tam sobie, i świeć swoją splugawioną pięknością pomiędzy niemi na wstyd i hańbę narodu!.... Ale ty panie Kamilu! czuwaj ty dobrze nad sobą i strzeż się! strzeż się zdybać się ze mną kiedykolwiek w tem życiu, bo chociaż-by to było już u samego grobu, chociaż-bym już leżał wyciągnięty na katafalku, to jeszcze na twój widok dłoń moja się wzniesie i rostrzaska tę czaszkę, pełną zbójeckich zzsad i pochuci za cudzą własnością!.....

Takie głośne wylanie ze siebie wszystkich namiętności przyczyniło się wiele do osłabienia jego piekielnej rospaczy i umęczyło go tak, że już zaledwie się zdołał utrzymać na nogach. Co widząc Burka, zaczął go namawiać, ażeby się położył i odpoczął cokolwiek. Już też i świt coraz jaśniejszy a za nim dzień biały zaczął uderzać w okna. Chcąc niechcąc musiał go Edmund usłuchać, bo go siły prawie całkiem opadły i zaledwie się przybliżył do łóżka, upadł na nie, jak gdyby był już bez ducha.

Na drugi dzień koło południa wstał on z tego ciężkiego omdlenia, ale był prawie niepodobny do siebie. Twarz jego zżółkła jak wosk cerkiewny, przedłużyła się i na policzkach zapadła, oczy podsiniały, usta spieczone gorączką szczerniały i broda się zaostrzyła jak gdyby u starca. Dziesięć lat wieku mu przez tę noc jedną przybyło.

Na drugi dzień też i dwór cały był jakby wymarły. Kręciły się jakieś cienie sług dworskich po dziedzińcu i sieniach, z niezaspokojoną ciekawością, wyrytą na twarzy ale to tylko jeszcze smutniejszą postać nadawało całemu mieszkaniu. Wszyscy wiedzieli, że się coś stało pomiędzy państwem, ale nikt nie umiał odgadnąć, co-by to było? — Panna służąca uciekła a Burka milczał jak gdyby zaklęty i zanadto natarczywą ciekawość poskramiał kańczugiem. Drzwi w pałacu pomiędzy apartamentami pana a pani były przez cały dzień ten zamknięte., nie gotowano w południe obiadu, nie przyrządzano wieczorem herbaty, zgoła jak gdyby nikt tam nie potrzebował już pożywienia. W nocy nie było widać ani jednego światła w pałacu.

I jeszcze jeden dzień tak przeminął w domu Edmun-

da z tą tylko różnicą, że Burka po kilka razy dnia tego przechodził z sypialni pana do apartamentów hrabiny. Słudzy się domyśleli, że albo się za jego pośrednictwem państwo zwaśnione godzi, albo się żegna ze sobą na zawsze.

Aż dnia czwartego wątpliwość się rozstrzygnęła. Pani hrabina bowiem, zabrawszy wszystkie swe rzeczy ze sobą, bez żadnego pożegnania z mężem i domownikami, wyjechała do Lwowa.

W kilka dni potem Edmund, oddawszy jak najzupełniejsze pełnomocnictwo nad całym majątkiem Burce, wyjechał na kilka lat do Londynu.

A w kilka miesięcy potem Adeli, mieszkającej we Lwowie, woźny sądowy doręczył wyrok, unieważniający jak najzupełniej jej ślub z hrabią Edmundem, z powodu zapowiedzi, nieogłoszonych według wymagań prawa w parafii jej męża.

XV.

Od chwili rozjechania się obojga małżonków z Edmundowego majątku, wiele lat przeminęło po za naszemi oczyma.

W tych latach, odznaczających się niezwyczajną ruchliwością umysłów i gwałtownem spieraniem się nowych opinii z staremi, pomiędzy wielu wypadkami zwracającemi na siebie uwagę świata, zdarzyło się zapewne nie mało i takich, w których spragnieni czynów obadwaj bohaterowie niniejszej powieści daleko wyraźniej odsłonili swoje wzajemne rozumy i charaktery, niżeli to mogli uczynić w swoich zawodach szkolnych i romansowych.

Za ich śladem pojść w te wypadki i czasy, było-by rzeczą może bardzo zajmującą i pożyteczną.

Ale na te wypadki i czasy spadła na teraz nieprzedarta zasłona w życiu: — to też musi także spaść na nie zasłona w powieści.

Kiedyś, pod piórem jakiegoś sumiennego dziejo-pisarza, powstaną te różnobarwne upiory z swych grobów, ażeby straszyć sobą uspokojone sumienia starców, stawać się przedmiotem poważnego rozmysłu dla mężów i zapalać chwytliwie głowy dorastających młodzieńców: — ale my... my chcąc nie chcąc bądźmy sobie jeszcze zawsze jak dzieci: na wspomnienie straszydła zasłońmy obydwiema rękami oczy i biegnijmy czemprędzej do drugiej komnaty, w której jest jaśniej cokolwiek i niemasz straszydeł.

Lwów jest to miasto, w którem dziwnie jest jasno o każdej porze. Śmiać się będą z tej wiadomości ci wszyscy panowie, którzy nie mało sobie nazbijali nosów u bótów i nosów u twarzy przy tamtejszych latarniach: ale któż też mówi, że tam jest jasno od samych latarni? — Tam jest jasno od plotek, ktore w dzień i w nocy oświecają tamtejsze ulice, jak biegające latarnie. Wprawdzie wszystkie miasta pomniejsze, które nie oświecają się gazem, to mają do siebie, że się oświecają plotkami: ale Lwów jest to miasto najambitniejsze ze wszystkich i z taką gorliwością wynagradza sobie brak gazu, że nad wszystkie miasta, celujące plotkami, mógł-by być śmiało postanowiony cenzorem. Plotki w tem mieście stały się rzeczą tak zwyczajną, że się jako nierozerwany od niego epitet połączyły z jego nazwiskiem, a tak jak jadącym na Litwę mówi się zwykle: poczęstują cię tam boćwiną, — jadącym do Włoch: nakarmisz się tam polentą i makaronami, — tak jadącemu do Lwowa mówi każdy: a przywieź nam też Lwowskich ploteczek. A kiedy tak jest, cóż w tem być może dziwnego, że mieszkańcy czerwono-ruskiej stolicy, mając plotek tak poddostatkiem jak Lapończycy wielorybiej tłustości a Hiszpanie oliwek, w braku innego łuczywa świecą sobie plotkami? —

Ukochani z wielu różnych względów lwowianie mają rozum niezaprzeczony. Nie czynią oni zeń ostentacyi, bo rzeczy tak pięknej jak rozum szkoda na ostentacye, w czem nawet okazują niepospolity hart duszy, bo lubią ostentacye pasyami. Tyle hartu wprawdzie nie mają, ażeby chuć ostentacyi zabić w sobie zupełnie, jakoż dogadzają jej ile możności a często nawet nad możność, ale to tylko powozami, końmi, liberyą, sukniami — w czem się znów okazuje tego rozumu praktyczność; bo tego wszystkiego, jak się z czasem potyra, zawsze dostanie na targu — a kto kiedy dostał rozumu na targu? — Rozum lwowski jest przedewszystkiem praktyczny. Praktyczność ta odbija się też we wszystkiem, tak w rzeczach wielkich, jak w małych, jak i w najmniejszych, — ta sama praktyczność odbija się nawet w owem oświecaniu głów i ulic plotkami. Kiedy bowiem jest jasno na świecie, kiedy zdarzenia są drobne i zwolna tylko następują po sobie, kiedy stan jest we wszystkiem normalny i dosyć jest nie zapomnieć rano się ubrać a w wieczór nie wleźć z sukniami do łóżka, ażeby nie zamącić światowego porządku: to lwowianie spuszczają się na latarnie i słońce, i nie oświecają się wcale swym gazem. Ale kiedy się niebo czarnemi chmurami obciągnie, świat się zamąci, zaburzy, zachwieją się ołtarze dawnego porządku, społeczeństwa gdzieś walczą między życiem a śmiercią i nadchodzi konieczna potrzeba w głowach i na ulicach jasności: wtedy lwowianie zapalają czemprędzej swoje plotkarskie latarnie i z taką skwapliwością latają z niemi po ulicach, i domach, że aż się całe miasto za niemi obraca. I wierzę bardzo, że im samym musi być dobrze jasno natenczas, kiedy wszyscy nie-lwowianie, którzy się tam pod tę porę znajdują, aż wzrok tracą od tych strasznych jasności i całkiem oślepieni powracają do domów.

Taka illuminacya odbyła się na ulicach tego miasta w strasznej pamięci roku czterdziestym-szóstym. Towarzyszyły jej greckie ognie w płomieniach czerwonych, towarzyszyły jej łuny krwawe na niebie i różne inne przerażające obrazy a ci, którzy to widzieli na własne oczy, powiadają, że było co widzieć. Potem te światła przy-

gasły i zrobiło się zwykłe pół-światła pół-cienia na ulicach i w głowach: widać, że wypadki się stały, porządek się przywrócił i nikt już nie rozebrany się nie kładł do łóżka. Ale tą świetną illuminacyą widać żesię zwydrzyli Lwowianie, słońce zaczęło im się wydawać mdłą banią, xiężyc im dziwnie szaro wyglądał a latarnie i okna, oświecone cokolwiek jaśniej, nawet pewny gniew wnich wzbudzały: pogardzili więc słońcem, śmiali się w twarz xiężycowi a latarnie i okna poczęli nawet z czasem wytłukiwać kamieńmi. Na miejsce zaś tego wszystkiego, już zaraz z początkiem roku czterdziestego siódmego, poczęli oni podług swego zwyczaju zapalać z wolna swoje plotkarskie latarnie i miasto pomału oświecać. Na nieszczęście była to taka pora natenczas, w której niebardzo bespiecznie było zwracać czemkolwiek na siebie uwagę publiczną: plotki też lwowskie przesuwały się gdzieś niewidzialnie przez ulice i miejsca zbiegowisk: ale tak jak gaz w miastach oświecanych tem światłem, i one miały swoje rezerwoary, w których się o pewnych porach zgromadzały massami i z których o innych znów porach takiemiż samemi masami wylatywały na miasto.

Pod ową tedy porę, kiedy Lwów z takim zapałem począł się bawić swoją ulubioną zabawką, pomiędzy wielu innemi osobami których nasza powieść znać niema zaszczytu, mieszkała tam także znajoma nam marszałkowa. Mieszkała ona naturalnie na jezuickiej ulicy, w kamienicy zielonej, którą i dziś jeszcze można-by tam gdzieś odszukać! gdyby nie to, że ją już teraz przemalowano na szaro. Rozumie się, że kamienicę nie marszałkowę, bo ta jak się po raz ostatni przemalowała po śmierci jenerała tak się już całkiem przestała malować. Pani marszałkowa była to już teraz rzeczywiście zgrzybiała staruszka, chód jej był powolny i cokolwiek trzęsący, włosy jej całkiem zbielały a zęby powypadały do reszty. Takim staruszkom, jakiekolwiek tam niegdyś było ich życie, daje pan Bóg niekiedy postać tak piękną, słodką i ujmującą, że jeno klękać przed niemi i jakby świętych prosić za sobą o westchnienie do Boga, — ale takiej postaci, chociaż ją pewnie gorąco pragnęła, nie dał Bóg marszałkowej. Bo chociaż postać jej była skromna, pokorna, poważna, mowa świątobliwa i zachowana ściśle w granicach wiekowi jej odpowiednich, przez co można ją było rzeczywiście wziąć za kobietę, która także przeżyła życie, jaką się wydawała na starość, — jednak twarz ją zdradzała. Na twarzy tej bowiem, dziś pomarszczonej i zżółkłej, pomimo jej wszystkich usiłowań, sztukę układania twarzy znających, tak była jawnie wyryta lat dawnych rospusta a przez oczy tak żywo wyglądał duch intrygi i obłudy, że tylko ten ich nie wyczytał, kto ich wyczytać nie chciał. (C. d. n.)

Z POEMATU: ŚPIEWAK Z OAZY.

(Ciąg dalszy).

Kassyda.

Piękna jest wiosna na Jemenu brzegach ;
Kwiat się tam ścieli w tęczowych szeregach,
Źródła tak czyste, jako łzy dzieciny,
Gdy się raduje, lub płacze bez winy,
I tyle woni w tej uroczej porze,
Że cały Jemen jest jak wonne morze.

Ale piękniejsza młodość beduina
Kiedy w nim dusza już bujać zaczyna,
I rozmarzone serce głośno puka,
A myśl na przemian walk i raju szuka!
W oku gra zapał słonecznych promieni,
Uczucie w piersi wiecznie niespokojne,
Chciałoby światło przymieszać do cieni,
Tęskni Edenu, pragnie burz i wojny,
Niebo dłań małe gdy we snach utonie,
A pieśń jak matka ukołysze skronie !

Dwa młode serca jeśli pojmą siebie,
O! to już lepiej niemoże być w niebie!
Jako dwa ognie gdy się zleją społem,
Grają ku gwiazdom płomienniejszem czołem.

Bracie lat młodych! my żyli jak mało!
Z zazdrością na nas patrzały plemiona.
Gdy moje serce niepokojem drżało,
Tyś mię przycisnął do bratniego łona,
Albo mi rzekłeś: „Słuchaj! weźmy konie!
„Przelecim cudne Jemenu ustronie;...
„Pójdziem do Mekki, — pomodlim się Panu!" ....
Tam ożywiony myślą Alkoranu
Czułem, jak szczęście kwitło nam radośnie!
Moje — zwiał Samum! — tobie — cyprys rośnie! —

Allahu wielki! kiedy mię ból smagał,
„Wydrzyj mi pamięć!" jam cię we łzach błagał,
Pamięć czynami i krwią potępiona,
Leez w tej pamięci żyje jeszcze ona!
Dziewicy oko — to gwiazda poranna!
Co zeszła zdobić kraj Arabistanu,
Jeśli w niem miłość zawsze pałająca
Oto cudniejsze jest od słońc tysiąca!
Łono jak fala usrebrzona pianą
Wznosi się lubo kołysane czuciem;
Na licu wschodzi różowawe rano,
A czoło marzeń owionięte snuciem
W czarnych warkoczy lubieżnym potoku
Ćmi jak półksiężyc z lekkiego obłoku!

Bracie! kochanko! gdy w noc o was marzę,
Mnie się wydaje, żem ja jeszcze młody!
Z tobą mój bracie przebiegamy w parze
Te umajone Mekkańskie ogrody:
„Śpieszmy! czy widzisz, za tych drzew szeregiem...
„Tam, jej zasłona powionęła śniegiem,
„Allah! jak piękna!..." Stanąłem jak wryty,
Chwytając promień od jej ócz odbity;
I gdyby ona w krzewy się nie skryła,
Byłbym stał niemy jak ciosowa bryła!

Odtąd już wszystkie sny, marzenia moje,
Szły z jej śladami, jak z bluszczem powoje;
Kiedy się śmiała, pałałem uciechą,
Gdy była smutna, to mych pieśni echo,
Tak się żałobnie dźwięczyło o skały,
Że mię słuchając dziewice płakały!

Pamiętam... Allah! zaranie urocze!
Jam w ręku pieścił jej cudne warkocze,
A ona ku mnie pochyliła skronie,
I rzekła: — „kocham” — i ścisnęła dłonie!
I takim żarem przejęła mi duszę,
Żem uczuł niebo, i piekła katusze.

Chwyciłem konia, w czwał, w czwał na pustynie!
W całej Arabii niechaj o tem wiedzą,
Że dla mnie Eden z pełnej czary płynie!
Niech palmy palmom szmerem opowiedzą!
Niech po dolinach echem mówią głazy,
A na plemiona wiatr niesie wyrazy...
O! kiedy piersi wrą ogniem wulkanu,
Niech mi się śmieje kraj Arabistanu!

On mi się zaśmiał... oddycham swobodnie!
Gdziem zwrócił oko, widziałem uśmiechy:
Tam gaj palmowy zakwitał urodnie,
Tu twarz wesoła wita mię z pod strzechy...
O stój pamięci! nie błyskaj tak jasno,
Wszak w krwi zbroczyłem moją rękę własną.

(D. c. n.)

TRYBUNAŁ LUBELSKI

Ze wspomnień starca 82-letniego.

(Dokończenie.)

W sprawach kryminalnych kondementa a tem więcej wyrok in *contumaciam,* pociągał za sobą banicyę czyli wygnanie, z rygorem *liberae capitivationis et colli,* to jest wolnego przez każdego wzięcia i zabicia.

Gdy obie strony stanęły, zaczęły się tak nazwane indukty, czyli wprowadzenie sprawy; leżały na pulpicie fascykuły z dokumentami i Volumina Legum; mecenas od strony powodowej opowiadał ustnie sprawę czyli *historiam rei* i to nazywało się *meritum* sprawy; po nim drugi od tej samej strony rozwinął dokumenta usprawiedliwiające twierdzenia pierwszego, dependent jego, sumaryusz tych dowodów w treściwem skróceniu, rozpisany lub drukowany, rozdał członkom Trybunału; czytał następnie te dokumenta, a mecenas je tłómaczył i to nazywało się explikacyą dokumentów. Na to, tym samym porządkiem głos zabierali mecenasi przeciwnej strony. Na ich wnioski i twierdzenia odpowiadał zwykle najbieglejszy mecenas i to zwano *repliką* — odpowiedź na replikę strony pozwanej miała nazwę *dupliki.* Gdy się tak ukończyły indukty, mecenasi od obydwóch stron replikujący wnosili i czytali swe *konkluzye,* każdy według swoich wniosków i w języku łacińskim, w którym prawa i dokumenta pisane były i składali je deputatowi trzymającemu sentencionarz. Jeżeli się znalazło co opuszczonego w induktach, wnoszono dodatkowo i to nazywano *illacyą,* następnie Marszałek uderzał laską w stół, a woźni po trzykroć wołali: „Mości panowie na ustęp — na ustęp mości panowie” a cała publiczność oddalała się do sal ustępowych. Trybunał w samotności naradzał się nad wyrokiem; czasem gdy strony były obecne osobiście, osobliwie ze znaczniejszych i znakomitszych osób obojej płci, gdyż i między kobietami znajdywały się sławne pieniaczki i intrygantki, i tak nazwane wersatki; tym podczas wprowadzania i obrony spraw dawano krzesła, przy szrankach oddzielających Prezydenta lub Marszałka. Jeżeli który z pacyentów chciał się przymówić, prosił o to Marszałka i dozwolone mu to było; lecz oprócz Xięcia Kazimierza Nestora Sapiehy, Jenerała Artyleryi litewskiej, pana wymownego i wyćwiczonego w prawnictwie, rzadko się znaleźli ochotnicy — za to nieraz niebaczni ojcowie lub matki podczas toczącej się ich sprawy przyprowadzali z sobą młode piękne córki, synowe, aby wymowniejszem nad usta mecenasów spojrzeniem jednały przychylne vota. Widziałem na jednej ważnej sprawie najsławniejszą w Polsce pieniaczkę — jednę z tych pięciu Elżbiet, które Węgierski w swoim paszkwilu opisał, za co wyrokiem sądu marszałkowskiego, przed spaleniem jego wierszy przez kata na rynku uchodzić musiał z kraju; — widziałem mówię tę zapaloną i czuchrającą sobie włosy z zapalonym wzrokiem pieniaczkę, pożerającą mściwem spojrzeniem każde słowo przeciwnego sobie mecenasa, miotającą się na krześle, przerywającą mowę głośno, lub szepczącą jakiemu deputatowi do ucha; pomyślałem sobie że z takich poczwar kobiecych starożytni musieli brać wzory do odmalowania w swojej mitologii pod żeńską płcią Furyj, Harpij i Megier — jako dręczycielek potępionych na piekielne męki.

Dzwonek prezydenta po naradzie zwykle przywoływał publiczność do sali; woźni wołali: „uciszcie się panowie do słuchania dekretu” — wstawał deputat trzymający sentecionarz i czytał głośno bez żadnych motywów samą treść wyroku i oddawał pisarzowi ziemskiemu, lub wybranemu z województwa na regestr jego. Pisarz dopiero układał wyrok z wywodami i powodami i wydawał stronom za dobrowolną ich ofiarą, która jedyne składała jego wynagrodzenie.

Trybunał koniecznie i nieodzownie podczas jednego ustępu powinien był sprawę osądzić, nie wolno było odkładać rozpoczętych narad do drugiego posiedzenia, chociażby przyszło siedzieć przez noc całą. Mecenasi i Palestra nie odstępowali sądu aż do ogłoszenia wyroku. W sprawach kryminalnych, kapitalnych okropny i przerażający zachowywano obrządek, którego wrażenie dotąd we mnie niezatarte zostało. Po skończonych oskarżeniach, obronach i naradzie wprowadzono nieszczęśliwego więźnia pod karabinami do sali sądowej. Jeżeli woźny zawołał: „uciszcie się mości panowie do słuchania dekretu,” wystąpiła nadzieja na twarz wybladłego winowajcy, gdyż to było znakiem łagodniejszej

kary, lecz gdy instygator odezwał się «woźny zamknij i otwórz drzwi«, ten głos był już oznaką śmierci i jej bladość powlekła lica nieszczęśliwego. Wtenczas woźny po trzykroć z wielkim hałasem otworzył drzwi podwójne i gwałtownie zatrzasnął, że w gmachu okna się zatrzęsły. Sędziowie świeccy powstali i nakryli głowy, duchowni jako nienależący do wotowania, siedząc podparci łokciami zakryli rękami twarze. Woźny natenczas zawoła: «uciszcie się do słuchania dekretu« Pisarz ziemski przeczytał dekret, wtedy przerażenie było powszechne, odprowadzono natychmiast więźnia, oddano pod straż magistratu i w trzech dniach, jeżeli karę miecza, to na rynku, jeżeli karę szubienicy, za miastem poniósł. Otoczenie kary śmierci tą smutną i razem groźną uroczystością sprawionem przerażeniem, wielkie moralne równie w winowajcach jak w obecnej powszechności wyprowadzało skutki.

Trybunał jednym trybem zawsze i przy jednych honorach wchodził i schodził z posiedzenia, z jednakową ceremonią reassumował się i limitował, z tą tylko różnicą, iż przy limicie na uroczystem nabożeństwie w kolegiacie już nie Veni Creator, lecz Te Deum laudamus śpiewano. Po limicie często wychodziły wiersze, jeżeli trybunał był przykładny, pochwalne, jeżeli występny satyryczne; autorami ich byli Zatajewicz mecenas, lub Dobrzański dependent i w takim sposobie spełniał się napis pod obrazem św. Tomasza umieszczony.

Wiadomo jest wszystkim czytającym naszą historyę, iż szlachta polska zsadzona z koni i rozbrojona po zwinięciu wojska w roku 1717, z jaką walecznością odbijała na granicach kindżały, bułaty tureckie, spisy, z takim zapałem i że tak powiem z gorącą zajadłością rzuciła się w spory między sobą o majątki zaniedbane długą nieobecnością, rzuciła się mówię w prawnictwo i w pieniactwo. Już nie było słychać na granicach i w kraju szczęku broni, ale szelest zbutwiałych i kurzem okrytych szpargałów po kancelaryach i archiwach grodzkich, ziemskich, trybunalskich. Instytucya trybunału była dobra, nie była doskonała jak wszystkie ludzkie dzieła. Wybory sędziów do najwyższe go sądu, powierzone gminnym szlachty zgromadzeniom, bez udziału najwyższej władzy, złożonej w ręce króla, były jej najgłówniejszym błędem. Gdyby był tej szlachcie powierzonym wybór tylko kandydatów, a królowi prawo mianowania jednego z trzech wybranych z każdego województwa, jak to było w wyborach sędziego ziemskiego, namiętności ludzkie, zabiegi, intrygi mniej byłyby znalazły placu. (?) Prawo nie odpowiadało dość skutecznie ochronie sprawiedliwości od występnego ducha sędziów, wymagając otrzymania dwóch zgodnych wyroków w trybunałach, a spaźniało bieg tejże sprawiedliwości do tego stopnia, że zaległości spraw do ogromnej liczby narosły; przecież chociażby ta instytucya najtrafniejszą uzyskała była poprawę i udoskonalenie, złe nie w niej samej lecz głębiej i obszerniej, to jest w całym narodzie istniało. *Quid leges sine moribus? —vana proficiunt.* To skażenie obyczajów szczególniej w szlachcie, już się w czasach ustanowienia trybunałów okazywać zaczęło, — zwiększało się przez panowanie Wazów, Michała i Jana III. August II. dokonał go skaziwszy płeć żeńską zalotnością męzką, pijaństwem, rozrzutnością. August III. oraz pobożna i cnotliwa małżonka jego, przykładem swoim nie poprawili tego co ich poprzednik zepsuł; przy tem król ten dobry i spokojny, lecz ociężały i zatargami wewnętrznemi zmordowany i zrażony, zobojętniał dla tego kraju, którego obojętności dla siebie w nieszczęściu uciskającem Saxonię doznał. Stanisław August niemógł tego dać czego sam nie miał. Oświecony ten król znał złe i zabieżyć mu usiłował. Wiele zaczął, nie wiele dokonał; co tylko zamierzył, z niepojętą łatwością przez słabość charakteru odstępował od tego i właśnie przystał na ten napis pod jego portretem umieszczony: *Quaesivit lucem coelo, ingemuitque reperta.* Można śmiało do rządów tego króla zastósować ten wiersz Owidiusza w Medei: *Video meliora proboque, deteriora sequor.* Król ten w przejeździe swoim do Wiśniowca odwiedzając najwystępniejszy i najochydniej gorszący trybunał pod laską Olizara, stolnika litewskiego, przyjął zaproszenie na obiad do marszałka, zamawiając sobie wyraźnie i zakazując, aby bez kielichów, a właśnie go temi i to licznemi kielichami przyjęto. Gdy przy obiedzie zbyt sobie podochocili, biesiadnicy i marszałek na klęczkach błagali, aby król dozwolił jeszcze jeden kielich za zdrowie swoje wychylić, spostrzegłszy już dobrze rozgrzane głowy dozwolił, lecz razem im dał naukę i przestrogę. «Dozwalam, rzekł, ale pod tym warunkiem aby posiedzenia popołudniowego nie było, bo potrzeba żebyście waćpanowie wiedzieli, że Turcy nawet, których barbarzyńcami nazywamy, gdy na sądy idą, kawy nie piją.» Przecież po takich przestrogach i listy instancyonalne do marszałka i deputatów za sprawami pisywał, gdy go o nie jego stronnicy, sługy lub piękne kobiety błagały i na forsę spraw przeciw możnym swoim antagonistom poufnych swoich faworytów zsyłał, którzy po dwakroć gorszące sceny pod okiem tego trybunału i z trybunałem wyprawiali. Staszyc w swoich dziełach ze zgrozą wspomina jednę z tych scen, na którą patrzał — jak czereda opilców na pół nagich, pod przewodnictwem jednego z panów, naszła trybunał i prezydenta chorego z łóżka wywlekła. Patrzyłem i ja na tę scenę i widziałem drugą, jak jeden z pierwszych możnowładców, przeciwnych królowi, za wpływem króla przegrawszy sprawę, w biały dzień rozkazał zapalić dwadzieścia cztery pochodnie i wyprawił z pijaną podobnie chałastrą procesyę do trybunału, obchodząc ratusz z okrzykiem: «szukam poczciwych ludzi.« Takiemi scenami oburzony Staszyc, w przestrogach swoich dla Polski, a szczególniej w pochwale Andrzeja Zamojskiego, owego najcnotliwszego Polski exkanclerza, trybunał lubelski nazwał placem popisu

rzewagi możnowładców, pijaństwa, kosterstwa, i wszelkiego rodzaju bezprawia; zbiorem jurgieltników, stronników, przekupniów, a Lublin — bazarem na którym sprzedawano sprawiedliwość. Sam z sobą w sprzeczności! Trybunał na którym Andrzej Zamojski za czasów Augusta III. marszałkował, wystawia jako wzór bezstronnego sądownictwa, bo na tym trybunale marszałek podnosząc laskę, złożył na stole nieodpieczętowane wory złota, któremi go ująć na swoją stronę w sprawie jeden z możnowładców, a nawet krewnych jego usiłował. Nie przypomniał sobie Staszyc ani trybunału pod laską Karwickiego rejenta koronnego, który deputatowi Wielko-polskiemu Szulerzyckiemu, co na ustępie kolegę swego Młodzianowskiego w twarz uderzył — nieschodząc z ratusza, stante pede głowę mu odjąć kazał; nie przypomniał sobie trybunału Stanisława Małachowskiego marszałka sejmowego, ani tylu innych sprawiedliwych i przykładnych.

W istocie patrzyłem na złe, gorszące, patrzyłem i na dobre trybunały pod laską: Chołoniewskiego, Krasińskiego obożnego koronnego, Karsznickiego kasztelana wieluńskiego, Kęszyckiego; do dobrych też trybunałow i opinia publiczna je zaliczyła. Trybunał Małachowskiego starosty oświecimskiego, później wojewody krakowskiego, Swejkowskiego wojewody podolskiego i Jana Małachowskiego starosty opoczyńskiego, a za naszych czasów wojewody Królestwa Polskiego, w rocznikach sądownictwa słynęły dostojnością, powagą i sprawiedliwością. Inne aż do Grodzickiego krajczego koronnego, już nie marszałka, lecz prezesa tego najwyższego sądu, pod którym się na zawsze zamknęły, ściągały na siebie usprawiedliwione wyrzuty. Trybunał, o którem wyżej wspomniałem Olizara stolnika litewskiego, sławny nieprawością, intrygami, pijaństwem i wszelkiego rodzaju rozpustą, palcem wytykano gdy zasiadał; gdy zeszedł z oburzeniem wspominano. Zgoła jak we wszystkich sprawach ludzkich tak i w trybunale lubelskim złe z dobrem koleją się przeważało. Staszyc przewagę złego możnowładcom bez różnicy przypisał; ale z kilku przykładów tak ogółowo potępiać wszystkich nie można, bo sami ci wyżej wzmiankowani marszałkowie trybunału, oświeceni, prawi, sprawiedliwi, dobro kraju i sprawiedliwość nad swoje osobiste dobro przekładający, i rzadkiem poświęceniem się służący wiernie krajowi i narodowej sławie byli także możnowładcami, a jednak prawemi urzędnikami i poczciwemi ludźmi. (G. C.) *K. Koźmian.*

O przedruku Słownika Lindego.

(Ciąg dalszy).

Kiedy więc zrzuciliśmy sukienkę naśladownictwa, kiedyśmy powiedzieli sobie że potrzeba pozbyć się tak wyrazów łacińskich jak i formy klasycznej, naturalny był zwrot do literatury Zygmuntowskiej a na niej oparty język nasz, zaczął zdobywać nowe zwroty. Z nową epoką ludzie nowi nadeszli. Poznaliśmy wtenczas, co to za skarb mowy stanowią prowincyonalizmy, zaczęliśmy więc ich używać. Nic więcej nie maluje charakterystyki dwóch tych epok literackich, tak blisko graniczących z sobą, jak ta sprawa prowincjonalizmów. Była forma przyjęta i broń Boże co nad nią! Zakrzyczeliby śmiałego nowatora profesorowie wymowy, stróże niepokalani czystości języka. Wyraz prowincyonalny podług nich psuł mowę, kaził ją, obrażał natchnienie, rozbujałość poetycznego polotu wstrzymywał: jeden wyraz taki niszczył, podług retorów naszych, całą estetyczność, całą piękność utworu. Mówiono wtedy, że prowincyonalizmy przechowują się tylko w ustach prostego, nieoświeconego ludu, w ustach i nie ludu ale tej niby wyższej klasy, która czytać i pisać umie, ale literaturą się jednak nie zajmuje. Jak ukłon niesalonowy był powodem, że na salonie winiono kogoś o prostactwo, o brak wychowania i znajomości świata, tak o prowincyonalny wyraz albo wyrażenie gniewali się na nieuka literaci.

Cóż to dzisiaj się dzieje na miłość boską! Struchleliby biedni z przed r. 1815 krasomówcy, professorowie, poeci, gdyby widzieli jak ćma barbarzyńców opadła ich święte pole literatury, na którem tyle zdobywali wawrzynów! Język nasz zmienił się do niepoznania. Nic z zasad dawnych nie zostało przy życiu, — ale to nic co się nazywa.

Dzisiaj np. mówim że prowincyonalizmy nie są plamą ale ozdobą, bogactwem języka. Któżby mógł nawet utrzymywać inaczej jeżeli choć troszkę nie jest obcy literaturze i zna choć cokolwiek mowę ojczystą! Pan Nowosielski kiedy mu krytykowano w Bibliotece Warszawskiej język jakim napisał swoje *Stepy, morza i góry,* bronił się mówiąc że używał prowincyonalizmów i że dobrze robił. Niepotrzebnie robił się bohatyrem zasady, którą wszyscy rozumieją.

Rzecz dziwna, pan Nowosielski pięknie i często po polsku pisze w każdej swojej rozprawie, a tutaj w tych oto *Stepach* tak dobrowolnie język swój zmienił. Recenzent wyrażenia jego nazwał prowincjonalizmami, nie w tem jednak znaczeniu, w jakiem wziął to autor, broniący się przeciw zarzutom pana K. T., ale rozumiał przez prowincjonalizmy swoje to, że wyrażeń jakich książka Nowosielskiego pełna, używają po większej części zabużańscy i zaniemeńscy literaci nasi. Litera docet, litera nocet. Ale o wartość właściwych, prawdziwych prowincjonalizmów, to jest sposobów wyrażenia polskich, używanych w pewnej prowincji, kto się będzie z p. Nowosielskim kłócił? I po co spierać się, kiedy są na to wymowne, najwymowniejsze dowody?

Weźmy ukraińską szkołę poezyi naszej. Już nie dziesięć, nie sto, nie tysiąc wyrazów, ale cały słownik prowincjonalizmów wtargnął do mowy naszej i cudnemi dźwiękami, cudnemi wyrażeniami pomnożył jej bogactwo. Potworzyły się nowe odcienia pojęć, nowe zupełnie pojęcia, które utwory z owych stron i na kanwie owych stron budowane i malowane, tak silnym miejscowym oblekają kolorytem. Kto z nas przedtem wiedział co to znaczy np. *znachor, czambuł, ostrów, homon, czumak, oczeret, zuzula?* A wyrazów kozackich jak wiele: *porohy, watażka, kurzenie, kosz, sahajdaczny?* i t. d. Znali te wyrazy obywatele ziem ruskich, używali ich w mowie potocznej, używali nawet ich w listach, które pisywali do znajomych. W materyałach historycznych już wydanych, spotykamy się z niemi coraz częściej i miło nam się spotykać tam z niemi; bo to przypomina zaraz nam Ukrainę i poetyczne jej życie. Ale od dawna to materyały historyczne weszły jako źródło przeszłości do literatury?

Między temi materyjałami są zabytki języka godne, żeby je lepiej wszyscy znali; autor nie myślał pisać dzieła; pisząc list, o literaturze najmniej myślał, a chcielibyśmy żeby wszyscy pokazali się tak np. wymownemi jak wojewoda bracławski Kisiel, kiedy pisywał do Chmielnickiego, jako wyznaczony z sejmu komisarz do układów z kozakami. Listy te i jeszcze wiele innych wydała komisja archeograficzna kijowska w oryginale polskim. Myśl, forma, koloryt w niej

nowy, wszystko w nich jest. Kisiela mieścim w spisie literatów polskich, a powinien by się liczyć pomiędzy polityków, tam jedno z celniejszych miejsc by zabierał. Wspomnieliśmy o nim jednym, bo naprzód nam przyszedł na myśl, a iluż to innych nieznanych pisarzy, wydawcy zabytków historycznych nam odkryli? O! doprawdy, historya naszej literatury jeszcze nie jest i niemoże być napisana, dopóki wszystkich rękopiśmiennych zabytków mowy naszej nie wydamy, nie przejrzemy przynajmniej. (C. d. n.)

Rozmaitość.

* Saphir w swoim humorystycznym kalendarzu jako przedmowę zamieszcza następną dowcipną proklamacyą Marsykowa, władcy roku 1855., przy wejściu jego w ten okres roku: «Przychodzę z mieczem w ręku, a z knutem w przyszłości, z wódką w żołądku, a z waszem przyszłem szczęściem w brzuchu, aby was zająć, ująć, ustanowić i odstanowić, aby przynieść wam błogosławieństwo naszej czarnej praszczurzycy: cholery. Przychodzę dla splondrowania waszych domów, aby zły demon w nich się nie zagnieżdżał, dla spustoszenia waszych pól, aby złe ziarno na nich nie zeszło, dla połączenia się z waszemi żonami, aby zapewnić wam domowy spokój, dla pędzenia przed nami waszych dzieci, aby ich własny popęd na złe drogi nie zaprowadził, dla zabrania pod nóż waszego bydła, aby ofiary odprawiać dla świętej sprawy.

Wmaszerowując w rok 1855., bierzemy go jedynie w zakład, za dwanaście miesięcy oddamy go znowu. Dla tego bądźcie spokojni, mieszkańcy roku 1855! My pragniemy jedynie tego, czego wy sami pragniecie. Wy pragniecie, wasze pieniądze i waszą własność bezpiecznie posiadać. I my tego pragniemy. Wy pragniecie wasze żony kochać i całować? I my tego pragniemy. Wy pragniecie plony waszych pól i chleb wasz w spokoju spożywać? I my tego pragniemy. Wy pragniecie waszym krajem i waszemi prawami sami się zajmować? I my tego pragniemy. Nie trwożcie się. Lew jest wspaniałomyślny gdy jest syty. Również i niedźwiedź będzie łagodny, gdy czerewo jego będzie pełne.

Przynosimy wam wybawienie z wszystkich trosek waszych. Już odtąd nie potrzebujecie się troszczyć o żadną własność, o dom i mienie! Zaraz przy wzięciu w zakład roku 1855. wydajemy obszerną amnestyą dla wszystkich lojalnie myślących, dla wszystkich którzy się przyczynili do porządku i bezpieczeństwa, dla wszystkich, którzy nie są zdrajcami lub szpiegami. Zachowajcie się spokojnie! Kto pomarł tego zostawimy na tem samem miejscu gdzie go pogrzebiono, kto w łańcuszkach siedzi, ten niech spokojnie i dalej siedzi. Kto nic nie ma ten niech się nie boi niczego. Święta jest dla nas własność tych co nic nie mają. Kto nas powita z miłością i zaufaniem, temu raczej wszystko inne weźmiemy, a nigdy nie tkniemy się jego miłości i zaufania. Kto z ufnością nam ukaże, gdzie swe skarby ukrył, z tem po bratersku się podzielimy, ufność jemu pozostawimy, a skarby weźmiemy sobie. Waszej wiary nikt wam nie naruszy. Możecie śmiało wierzyć, iż przychodzimy jako obrońcy, jako przyjaciele, jako bracia, jako wybawiciele, w tem zostawiamy wam zupełną wolność wiary. W wasze «sprawy wewnętrzne» wcale mieszać się nie będziemy; wasze bole brzucha, wasze kurcze żołądka, wasze gryzienia w wnętrzu, wasze zatwardzenia wątroby i t. d. będą należyć do waszych dawniejszych urzędów, wszystkie wasze dawniejsze prawa pozostaną, a my zaprowadzimy nasze! Jeśli macie jaką skargę wystąpcie z nią śmiało, wystąpcie przed nasz sąd! Jeźli sprawiedliwa natenczas biada jej. Jeźli niesprawiedliwa, natenczas biada wam. Bo my jesteśmy bezstronni! i t. d.

* W niedzielę w dzień imienin Najjaśniejszej Cesarzowej, odprawiono uroczystą mszę w Archikatedrze. Ksiądz Arcybiskup prezydował, a obecny był Cesarzewicz Jegomość i dostojnicy wojskowi i cywilni. Tegoż dnia był u Cesarzewicza, już w pomieszkaniu w mieście obiad na 24 osób.

* W kościele ś. Piotra odbyło się solenne nabożeństwo na cześć ś. Stanisława Kostki. Członkowie towarzystwa odśpiewali piękną mszę Cherubiniego. Podczas nieszporów, wymowny kaznodzieja ks. Odelgiewicz miał kazanie o szczęściu doczesnem i wiekuistem.

* Przybył wczoraj rano do Lwowa Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiąże Karol Ferdynand, feldmarszałek-porucznik, wracając z urlopu do korpusu swego do Tarnopola i stanął w hotelu angielskim.

* Z pewnego źródła dowiadujemy się, że sławne w muzykalnym świecie dwie siostry panny Nerudy w tych dniach przybędą do Lwowa. Jutro zaś występują w teatrze dwoje małych rodzeństwa, czteroletni Maurycy Friedberg na skrzypcach, a siedmioletnia siostra jego: Henryka, na słomianodrewnianym instrumencie Guzikowa.

* Podobnie i tancerka słynna, Pepita Oliva przybędzie do Lwowa w tym miesiącu.

* Śpiewaczka francuska, Stolz, opuściła niedawno Paryż z powodu, iż z niebardzo wielkim przyjmowano ją zapałem. Ma ona być szczególnie chuda. Jakiś żartowniś w usta jej włożył następujące słowa rzymskiego wodza: *Ingrata patria! ne ossa mea quidem habebis!* (Niewdzięczna ojczyzno! nawet kości moich mieć nie będziesz.)

* Przy koszarach artyleryi spaliły się dzisiejszej nocy wszystkie warsztaty stolarzów, kołodziejów, kowali, ślusarzy i siodlarzy. Ogień wybuchł po północy z powodów dotąd nieznajomych

Ryciny do Nru 137 dołączone przedstawiają: *Rycina pierwsza, Ubiór od wyjścia.* — Kapelusz biały aksamitny, ozdobiony pączkami róż, białą blondyną i czarnemi aksamitkami. — Wzór nowy Aleksandryny. Kania zachodzi na czoło trochę szpiczasto, po bokach zaokrąglona. Pod spodem ubranie blondynowe, pączkami róż podpinane. Płaszczyk Parisien, obszyty guziczkami i czarnemi aksamitkami. Płaszczyk ten formuje wyłogi z przodu. Rząd małych guzików idzie od szyi, przez ramiona, aż do zgięcia łokcia. Ubranie to z tyłu zaokrąglone, tak skrojone, iż formuje z przodu rękawy. Kołnierzyk obszyty dwoma aksamitkami, wyłogi tak samo — z przodu obszyty trzema rzędami aksamitek, a do koła sześcioma. Suknia koloru orzechowego z dwoma falbanami, z których jedna siedm a druga dziewięć razy aksamitkami obszyta.

Ubiór domowy. — Ubranie głowy *à la Sévigné.* Baskina aksamitna czarna, taśmami, koronką i guziczkami obszyta. Taśmy bardzo wąziutkie, mniej jak pół calowe, koronki o połowę szersze, guziczki szklanne, kolorowe. Baskina ta obcisła, z przodu otwarta, bardzo długa, na kłęby spadająca i na trzy guziczki z przodu spięta. Cztery rzędy tasiem płasko wyszytych od ramion aż do dołu. Plecy gładkie, a jedynie baskina z tyłu od pasa wyszyta, w samym pasie u początku każdej taśmy guziczki. Wszystkie taśmy obszyte koronką trochę namarszczoną, spadającą na aksamit. Rękawy u góry pół szerokie, u dołu szersze, z przodu otwarte, podobnież obszyte jak baskina. Koronką czarną na trzy cale obszyta baskina i rękawy u dołu. Półkoszulek muszlinowy, haftowany, z wstawkami koronkowemi. Rękawki muszlinowe, haftowane, koronką do koła obszyte. Spódnica gładka, z ciężkiej mory.

Opisanie wzorów do haftów. Nro 1. Chustka łańcuszkiem wykonana. Nro 2. Szlak do spodnicy angielskim ściegiem dziergany. Nro 3. Zęby dziergane na falbany do sukien lub płaszczyków. Nro. 4. Girlanda haftowana do płaszczyków lub na fartuszki. Nro. 5. Przód półkoszulka atłaskiem dziergany. Nro 6. Kołnierzyk do tegoż półkoszulka. Nro 7. Szlak dziergany. Nro 8. Róg chustki atłaskiem. Nro 9. Imię Marie łańcuszkiem lub atłaskiem. Nro 10. Litery złoco-

ne atłaskiem lub łańcuszkiem. Nro 11. Imię dziergane. Nra 12. i 13. imiona atłaskiem. Nro 14. Kwiatek z włóczki robiony.

Przyjechali od dnia 17. do 19. listopada do Lwowa:

PP. Kleczkowski Franciszek, z Krakowa. Kraiński Edward, z Leszczawy. Komarnicki Bolesław, ze Sambora. Łopuszański Bolesław, z Czyszek. Grochowalski Karol, z Tucznego. Augustynowicz Bolesław, z Kniaża. Augustynowicz Seweryn, ze Złoczowa. Heydel Henryk bar., z Romanówki. Papara Stanisław, z Dolnicza. Wiktor Tadeusz, z Makowisk.

PP. Bobrowski Klemens, z Korsowa. Płocki Józef, z Jawcza. Czacki Aleksander hr., z Przemyśla.

PP. Christian Gustaw Adolf, z Biały. Doliniański Seweryn bar., z Dolinian. Gottleb Feliks, z Dołhomościsk. Madejski Stanisław, z Leżajska. Starzyński Leopold hr., z Mszany. Ostrowski Feliks, z Zagrobelli. Kdssowski Ludwik, z Dołhomościsk. Strzelecki Krzystof, z Płuhowa. Badeni Aleksander hr., z Brzeżan.

Wyjechali od dnia 17. do 19. listopada ze Lwowa:

PP. Radziejowski Edward, do Dołkowic. Cywiński Franciszek, do Delejowa. Krasicki Piotr, do Brzeżan. Michalewski Antoni, do Rohatyna. Gutowski Kazimierz, do Stryja. Zawadzki Józef, do Stryja. Kurkowski Kazimierz hr., do Rzeszowa. Czaykowski Hipolit, do Dydyatycz

PP. Barański Michał do Radłowic. Barański Karol, do Sambora. Smarzewski Piotr, do Moczerad. Czerwiński Stanisław, do Kłodzienki.

PP. Malczewski Henryk, do Gniłowód. Ziembicki Henryk, do Dobrostan. Dąbrowski Stanisław, do Liska.

Kurs telegrafowany z Wiednia 21. b. m. o g. 2 po połud.

Amszterdam . . .	105½.	Medyolan za 300 lirów	—.
Augsburg za 100 złr.	127½.	Paryż za 300 franków	147
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	31½.
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy . . .	126⅝.	Srebra agio	29
Genua.	—.	Pożyczka 5% 82$^{5}/_{16}$. 4½	72$^{9}/_{16}$.
Hamburg za 100 tal. banco.	93½.	Pożyczka lit. B. . . .	
Konstantynopol	—.	Akcye banku . . .	1225.
Liwurno.	—.	Kolej północna . . .	—
Londyn za 1 funt szterl.	12 18.	Obl. ind.	74½.
Marsylia	—.	Nowa pożyczka z loteryą	96½.
		Pożyczka narodowa . .	86⅝.

Dzisiejszy **Kurs lwowski.**

	Gotowką		towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 58	złr. 6	kr. —.
Dukat cesarski	„ 5	„ 59	„ 6	„ 2
Półimperyał zł. rosyjski	„ 10	„ 16	„ 10	„ 18.
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 59	„ 2	„ —.
Talar pruski	„ 1	„ 53	„ 1	„ 55.
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1	„ 26	„ 1	„ 27.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	„ 86	„ 10	„ 86	„ 20.

Obligacye indemnizacyjne 74. 15 do 74 złr. 35 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**